

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Wiosna!

Maryś! Maryś!

Wiosna leci!

Już nam pachnie, już nam świeci!
Już w szumiący bór zapada,
Już z drzewiutą drożną gada.
Już wśród roli, wśród oranej
Kładzie miedzą pas kowany,
Już u stoku nóżki myje,
Już wianuszek sobie wije,
Już się w duszy roi w snach,
Taka piękna, że aż strach!

Maryś! Maryś!

Wiosna wieje!

Już się łąsi, już się śmieje!
Już ją jeno objąć ręką
W zespół z wonią a piosenką
Już ją jeno tchem ułować,
Myśla, sercem, duszą spowić;
Już ją jeno niby ciebie,
Mieć i patrzeć po tem niebie,
Po tem niebie, po tej roli;
Mieć ją, mieć ją, mieć do woli!
Co nie daje — wszystko brać!
I na zamian wszystko dać!

Maryś! Maryś!

Wiosna ma się.

Idzie ku nam, przymila się!
Już ją czuję wedle duszy,
Już mi w myślach kwieciem prószy;
Już na oczach się migota,
Cała z srebra, cała z złota,
Od róz strojna, od korali,
Aż polyska, aż się pali!
Już po sercu się rozlała,
Już i we krwi mej zawrzała!

Już mi czegoś tak się oni.

Maryś! Maryś! wyjdź i ty!

M. Laskowski.



Król i wójt.

Powieść z lat dawnych.

przez

Stefana Gębarskiego.

(Dokończenie).

Podobni do Wierzyńka mieszczanie otwarcie stają po stronie prawego władcy, nie chcą brać udziału w knowaniach przeciw niemu.

Wierzynek przytem otwarcie występuje przeciw wójtowi, gani jego postępowanie. W ten sposób upłynęło lat sześć. Król, zajęty nieustanną walką z nieprzyjaciół, zajęty był właśnie w Wielkopolsce, gdzie po śmierci Henryka, księcia glogowskiego, lud wezwał go na pana i gdzie nad połączeniem tej dzielnicy z macierzystą pracować musiał. A przeszkadzali mu Krzyżacy, Czesi i brandenburczycy na każdym kroku.

Krogulczyńa wzrokiem patrzący na sprawy kraju Albert, wraz z bratem swoim Henrykiem, potężnym i bogatym opatem miechowskim i Muskatą, uznał, że nadeszła chwila działania, że jeśli teraz nie wyprze Krakowa Łokietkowi, zostanie ten gród na wieki stracony dla Niemców.

Gdy więc Łokietek urządził sprawy Wielkopolski, małe jeno siły zostawiwszy na zamku krakowskim, w którym żonę zostawił, nieszczęsny wójt porwał się do zdrady.

Zamknięto bramy Krakowa, obsadzono je najemnikami niemieckimi. Wszystkie inne zniemczone miasta przyklasnęły temu.

Po radzie odbytej w domu wójta wysłano posłów do Bolesława, księcia Opolskiego, zniemczonego i niemieczyźnie przychylnego, aby przybywał i tron krakowski obejmował.

Księżę Bolesław, mający dawne do Łokietka urazy za porażkę, którą poniósł pod Siewierzem, zgodził się na wszystko, co wójt doń pisał i z hufcami wypoczętymi pod Kraków przybył. Otworzył przed nim bramy miasta Albert i powitał go na czele mieszczaństwa, nazywając swym panem.

Widząc, że wójt do swego domostwa go zaprasza, księżę oświadczył, że woli spocząć po podróży na Wawelu.

— Tam jeszcze siedzą szczury łokietkowskie — odparł Albert.

Otyły księżę, strudzony i nie lubiący łamać przeszkód, schmurzył się.

— Szkoda, żeście mi wcześniej o tem nie oznajmili — mruknął gniewnie.

— Nim wieczór nastąpi — rzekł wójt — można go siłą zdobyć. Ja wojska licznego nie miałem....

Opoleczyk schmurzył się bardziej i wydał rozkaz, aby szturmem zamek wzięto, sam zaś udał się do domu wójta.

— Nim słońce zajdzie — mówił zdrajca — na zamek wejdziemy.

Atoli zawiódł się.

Najemne hufce śląskie i niemieckie niechętnie się biły, po bohatersku zaś broniony zamek przez nieliczną załogę ciężkie zadał im ciosy.

I tak dzień po dniu nie mógł go zdobyć Opoleczyk.

Gniewny, ociężały siedział w domu wójtowskim. Marzył o tryumfach, spotykał go zaś ciężki zawód.

Tymczasem nadeszły niespodziewanie wieści, że Łokietek wraca do zajętej przez Opoleczyka i Niemców stolicy, że do boju się gotuje.

Padł strach na zdrajców. Jedyną nadzieję żywili w hufcach księcia Bolesława. Ten wszakże o szykowaniu się na bój krwawy nie myślał.

Znał dobrze waleczność Łokietka, wiedział z doświadczenia, że trzeba będzie bój stoczyć na śmierć lub życie. A on nie życzył sobie tego, nie lubił narażać się na niebezpieczeństwo.

— Lepiej wróć do siebie, a Kraków zostawię Łokietkowi — rzekł do otaczających go dworaków, między którymi znajdował się i Szwenca, zawsze pijany, zawsze drwiący ze wszystkich.

— I to będzie jeszcze rozumniejsza rzecz — rzekł ten opój dowiekpując — niż była, kiedyśmy ten gród zajmowali.

Dosłyszał to wójt, niezmiernie bezczynnością Bolesława zgnębiony i padł przed księciem na kolana.

— Broń nas, księżę, nie wystawiaj na gniew Łokietka! prosił.

Ale Opoleczyk niecierpliwie ruszył ramionami i odrzekł opryskliwie:

— Daj-no mi spokój, mój Albercie, bo przedewszystkiem ja bym cię powinien ukarać za to, żeś mnie w błąd wprowadził. Pisałeś do mnie, a ja wierzył, że cała Małopolska do nóg mi padnie, gdy się zjawię w Krakowie. A tymczasem ledwie, że mogę tu oddychać... Gdzie zamki, gdzie ziemie?

Wytrwałości, dostojny panie! — jęknął wójt, blednąc.

Księżę obraził się.

Nie ucz mnie cnót, mój drogi — odrzekł — jeno Wawel mi otwieraj. Jeśli to rychło się nie stanie, rzucam to miasto niewdzięczne i odchodzę.

— A ja za wami, miłościwy księżę — dokończył Szwenca — bo mi się to domostwo wzięciem wydaje.

Wójt wstał i odszedł, aby wydać nowe rozkazy do szturm.

Zamknięta w zamku księżna Jadwiga wraz z dziećmi, Kazimierzem i Elżbietą, sama wybiegła na wały i zaklinała załogę do wytrwałości.

— Nie poddamy się! nie! — brzmiała odpowiedź.

I nie poddali się, ani zamku nie oddali.

Tak upłynęło jeszcze dni kilka. Pod Kraków nadciągnął Łokietek. Nie chcąc bratniego krwi rozlewu, posłał do księcia Bolesława posłów z żądaniem, aby ustąpił z nieprawnie zajętego Krakowa.

Wśród poselstwa tego był i Jaśko z Góry, a obok niego Stach Dąbek, który już wyzdrowiał z ran chwalebnych.

Księżę przyjął ich uprzejmie i z pogardą wspominał o wójcie.

— Ja chętnie ustąpię — rzekł — jeno wy tutaj ukarście kogo należy.

I wydał rozkazy do odwrotu.

Zaledwo poselstwo odeszło z tą dobrą dla Łokietka wieścią, aliści przypadł do nóg księcia opolskiego Albert i zaczął błagać, aby go nie wystawiał na zemstę zwycięscy.

— Więc przebierz się za dziada i ukryj wśród moich hufców — odrzekł księżę niedbale poczem na gwałt wydał rozkazy do odwrotu.

Na drugi dzień już o nim i jego hufcach nikt w Krakowie nie wiedział, natomiast wszedł do zbuntowanej stolicy prawy pan i karać winnych rozpoczął.

Nie pomogły prośby księżnej Jadwigi, wielu mieszczan na karę śmierci skazano, a majątek dumnego Alberta skonfiskowano.

Uszedł on na obczyznę, do Czech i tam w nędzy wielkiej żywota dokonał.

Kraków na wieczne czasy ocalony został od zniemczenia roztrpnością i męstwem Łokietka.

* * *

W dniu 20 stycznia 1319 roku, radość niezmierna zapanowała w grodzie podwawelskim. Otoczony dostojnikami duchownymi i świeckimi, uroczystie koronował się w kościele katedralnym Władysław Łokietek.

Korona Chrobrego znowu spoczęła na głowie jednego monarchy, który rozerwane dzielnice państwa połączył w całość potężną.

Gdy po solennem nabożeństwie król zasiadł na rynku krakowskim, aby odebrać hołd od miasta i przysięgę, otoczył go świetny dwór, świetny poczet panów i rycerstwa.

W orszaku księżnej Jadwigi widać było dziewczeczkę bladą, jak lilijkę, ale promieniejącą z radości. Przy niej stała żona Wierzyńka.

— Widzisz króla, Małgós? — pytała dziewczątka ta ostatnia.

— Widzę go w majestacie wielkim, wydaje mi się piękniejszym od słońca.

— Kochaj go zawsze i służ mu jak dotychczas służyłaś.

Małgós, gdyż ona to była, wzniosła oczy ku niebu i zdawała się medlić.

Wyrwana ze szponów Alberta, wyleczona pod okiem księżnej, gdy stara Borucha ją opuściła, udając się z powrotem do puszczy, Małgósia stała przy boku królowej pozostała. Z czasem wyszła za mąż za Stacha Dąbka, który za swą waleczność bojną przez króla obdarowany, żył długo i szczęśliwie.

Pod Płowcami poraził on hufiec Niemców, dowodzony przez dumnego Ditmara [von Szwert, który w haniebnej ucieczce zginął marnie wśród bagien i trzęsawisk puszczy olkuskiej.

KONIEC.

O złym Bartku i dobrym Maćku.

I.

Było sobie dwóch gospodarzy — płot z płotem, miedza z miedzą. Gruntu mieli niewiele, a i to piachy same. U każdego z nich jedno konisko w sosze chodziło, i to wymizerowane bardzo, bo zimną grzecz suchą słomę musiały, a latem otokę skubać. Klepali więc biedę obaj sąsiedzi gospodarze Maciej i Bartomiej i oba konie.

Razu pewnego (było to w sam dzień Narodzenia Pana Jezusa). Bartek z żoną przy wieczery siedzieli, a że przedtem połów się udał w odnodze wiślanej, mieli na misie szczupaka i karasiów kilka. Na dworze było niespokojnie; wicher huczał „hu, hu, hu,“ a śnieg padał drobny i gęsty, jakby kto otręby przez przetah przesiewał.

Nagle zastukano do drzwi Bartłomiejowej chaty.

— W porę — mruknęła gospodyni, chowając ryby pod stół.

— Nie chowaj, nie damy! — odrzekł gospodarz i podeszedł do drzwi.

— Kogo tam lichy przynosi? — spytał.

— Szukam gościny, przychodzę do was — ktoś odpowiedział i znowu zastukano.

— A pójdziesz! — krzyknął gospodarz.

Drzwi kolkiem zaparł i naurgał jeszcze.

Coś westchnęło w progu i poszło.

II.

Miało się ku wiosnie. Z pól spłynęły śniegi, a szary skowronek śpiewał chwałę Bożą.

Zazieleniała ruń Maćkowa gęsto i bujnie, a na polu Bartkowem ledwo licha pokazała się trawka. Do tego miał i w domu zmartwienie, bo syn, który już na parobka wyrosł i miał ojcu w gospodarstwie pomagać, do żadnej nie chciał brać się roboty, że nieraz kury przepieją, a matka budzić musi leniucha. Inaczej u Maćka: i ruń bogata, i syn pracowity.

Nim się zaczęły w polu roboty, Maciej zwioził drzewo i nową szopę postawił.

— Ukradł gdzieś w lesie! — pomyślał Bartek.

Przyszły żniwa: na polu Maćkowem kopie nie zliczyć, aż się swoi i okoliczni ludzie dziwili. Bartek uczuł zazdrość w sercu.

— Jak on to zwiezie? — szeptał. — Czy tym jednym zdechlakiem swoim?

Ale Maciek pojechał na jarmark i kupił dwa konie. Żaden z gospodarzy nie miał strzyżaków takich: okrągłe jak ogórki, o sierści lśniącej, choć do powozu dziedzica. Nawet „zdechlak“ poprawił się i wierzgnął parę razy.

— Czy ograbił kogo, czy co? — pytał siebie w duchu Bartek, bo jego pole świeciło lysiną piasku, jak nigdy jeszcze; nieuprawiona chałupa na bok się chyliła, a wychudzona szkapasochy już nie mogła uciągnąć.

Mijało lato: jabłkami i gruszkami opsywał się ogród Maćka, a u Bartka wszystkie drzewa wyschły. Jesienią Maciek nową chałupę postawił, sprawił wóz kuty i z jarmarku krowę z cielakiem przywiódł. Bartek z zazdrości schudł jak szczapa.

Pewnego razu przyszedł synalek z pola i rzekł do ojca:

— Aj, tatusiu, tatusiu, co ja widziałem!

— Pewnie gawrona na wieży kościelnej —

— Nie gawron to był, jeno pieniądz złoty u syna Maćkowego.

— Co? co? — porwał się Bartek.

— Paśliśmy bydło na łące, a Stach mówi: „Józwa, patrz, co ja mam“ i pokazał mi pieniądz złoty.

Bartek spochmurniał.

— Daszę sprzedać złemu duchowi! — mruknął.

III.

Wieczorem dnia tego poszedł Bartek do Maćka i zagadnął go o wzrastającym wciąż dostatku.

— Ot, nie wiem, co to było... to było tak — opowiadał Maciek: — Dobrze przed rokiem, w dzień Narodzenia Pana Jezusa, siedziałem z żoną przy wieczerzy, a że przedtem połów się udał w odnodze Wiślanej, mieliśmy na misie szczupaka i kilka karasiów. Na dworze było niespokojnie: wicher huczał „hu, hu, hu!” a śnieg padał drobny a gęsty, jakby kto otręby przez przetak przesiewał. Nagle ktoś zastukał do drzwi mojej chaty. „Kogo mi Pan Bóg przynosi?” spytałem. Szukam gościny, przychodzę do was ktoś odpowiedział.

Otworzyłem, wpuściłem, nakarmiłem. Było to „szczęście”.



Mickiewicz w Weimarze.

Było to w roku 1829, gdy Mickiewicz, przejeżdżając przez Niemcy, ze swym przyjacielem Odyńcem, w Weimarze przebywał. Jednego dnia, już po obiedzie, przyszedł Odyńiec do hotelu, w którym zwykłe z Mickiewiczem jadał. Przed wejściem do sali jadalnej usłyszał żywą rozmowę; prowadzoną w języku francuskim — otworzył tedy drzwi i ujrzał swego przyjaciela, rozmawiającego z dwoma Francuzami. Jeden z nich, starszy — mający lat około 40, niskiego wzrostu; drugi, brunet, nieco wyższy, miał duże oczy i długie włosy, spadające mu aż na szyję. Ten ostatni właśnie rozmawiał tak głośno, a pierwsze słowa, które Odyńiec wyraźnie posłyszał, były:

— Nie, nie, to nie jest jego nazwisko! Mik... Mis... Mik... ach, jakże się zowie wasz wielki poeta?

Mickiewicz spojrzał na Odyńca i z lekka potrzęsł głową, dając mu tem znak, żeby milczał. Odyńiec, usłyszawszy odpowiedź przyjaciela, pojął dopiero, o co rzecz idzie.

Francuz, chcąc się pochwalić, że zna polską literaturę, mówił o świeżem wydaniu dzieł wielkiego poety, którego nazwiska zapomniął. Ponieważ jednak mówił o wielkim poecie, odpowiedział mu puzeto skromny Mickiewicz, że zapewne ma w myśli Krasińskiego, którego zasługi w polskiej literaturze są wielkie.

Francuz niecierpliwił się i nie mógł ukryć oburzenia, że Polak nie zna nazwiska swego ge-

niałego poety. Mickiewicz tymczasem wypił kawę i wyszedł.

Wtedy zwrócił się ów młody Francuz do Odyńca z zapytaniem, jakiej jest narodowości? Gdy mu na to Odyńiec odpowiedział, że jest Polakiem, zapytał go, czy nie zna nazwiska największego swego poety. „Pan chcesz zapewne mówić o Adamie Mickiewiczu” — odrzekł Odyńiec. Tak jest, jak się nazywa — wykrzyknął uradowany Francuz. Na to odpowiedział mu spokojnie Odyńiec: „To jest właśnie ten sam, który opuścił tę salę.”

Francuz zaczerwinił się cały jak burak i prosił, aby go natychmiast do Mickiewicza zaprowadzono, co też Odyńiec chętnie uczynił.



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Trzy litery w nazwisku, lecz może i warto, Według pisowni obcej dorzucić im czwartą. Nazwisko historyczne, postać to wspaniała. W bohaterskie ją szaty legenda ubrała. Później z dziejów będziecie więcej o nim wiedzieć, Mnie zaś, nawiasem tylko, wypada powiedzieć, Że srodze tam musiała drzeć ojcowska duszka, Kiedy, na rozkaz wroga, strzelał do jabłuszka. Mniejsza, ile jest prawdy w legendy osnowie, Dość, że się bohaterem szczyła Helwetowie.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 11.

I.

- 1) CHICAGO.
- 2) HOLOFERNES.
- 3) OROT.
- 4) PO.
- 5) ISAJ.
- 6) NATALIA.

II.

A U S T R A L I A
U R S Z U L K A
S A L O M O N
T A M I Z A
R O M A N
A M O R
L I N
J A
A

III

T, k — teka.